

# PROMIEŃ



MIESIĘCZNIK



MŁODZIEŻY



GIMNAZJALNEJ



LISTOPAD

Nr. 2. 1937 r.

ROK XIII.



Czy wiesz o tym,  
że następny numer  
„Promienia” będzie

**111**

NUMEREM OD ZAŁOŻENIA

**K A R A   Ś M I E R C I**

moralnej, grozi tobie, który  
choć umiesz, nie napiszesz  
artykułu do tego numeru.

NUMER GRUDNIOWY

**musi być**

**zasypany artykułami !!!**

**TERMIN 10. XII.**

I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,  
Ileś za młodu życia wchłonął w siebie.

# P R O M I E Ń

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. Marsz. Polski  
Józefa Piłsudskiego w Ostrowie Wlkp.

---

Kierownik wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny  
Ożegowski P. Prof. dr. J. Jachimek Pałys Feliks

---

## Powiedział...

...Ze wzrastającą szybkością ogarniało nas słuchaczy znużenie. Kilku, kolejno występujących mówców, wygłosiło swoje przemówienia „trącające” zlekka szablonem wszystkich mów okolicznościowych.

„Tak każdy powiedział, co wiedział”. Powtarzali się. Na domiar wrażenia słowa poczęła dokuczać naszym „nożnym” palcom przez niezbyt całe skarpetki i nie pamiętające ostatniego „zelowania” trzewiki.

Na trybunie ukazał się nowy prelegent. Wysoka, wyniosła postać w wojskowym, oficerskim mundurze. Na marsowej twarzy maluje się wzruszenie.

Zaczyna mówić, wyjaśnia swą obecność na trybunie. Nasza dotychczasowa rezerwa w stosunku do mówiącego łamie się. Silny i żywy głos przyciąga uwagę słuchaczy, zaciekawia i nastawia przychylnie.

Mówi... Mówi o swej roli przedstawiciela generała, o dowódcy wojska, ku uczczeniu którego wstawiono pomnik-głaz. Jako członek tej Armii z niezwykłą dokładnością i barwą wyjawia swoje wspomnienia z tych czasów, które były czasami walki, poświęcenia i heroizmu, a w których to czasach społeczeństwo nasze zetknęło się z tymi bohaterami, entuzjastycznie wyrażając im uczucia sympatii. Przedstawiciel swych żołnierzy daje wyraz swoich wzajemnych, serdecznych uczuć dla tego społeczeństwa.

W słowach jego przebiega radosna nuta miłych wspomnień, spleciona zarazem z żalnością spowodowaną tym, że te

miłe wspomnienia są już tylko... wspomnieniami. Słowa te są tak proste, serdeczne i zrozumiałe a jednocześnie kryją w sobie tak głęboką treść i patriotyczne uczucia, że porywają słuchających i silnie, długo i trwale chwytają za serce.

Spoglądam wokoło. Wszyscy słuchacze są naprawdę zajęci tym, co mówi ów żołnierz - legionista, jeden z tych bohaterów-wskrziesicieli Ojczyzny. Nie jeden z widzów łączy zapewne swe wspomnienia z takimi radosnymi, żołnierskimi.

Patrząc znów na mówcę. Właśnie wezwał zebranych do odśpiewania pamiętnej „Roty“. Padają dumne i butne słowa pieśni podjętej przez wszystkich.

A tymczasem oficer - prelegent stoi „na baczność“, prawa ręka przy daszku wojskowej rogatywki, głowa podniesiona, zasłuchana. Pomyślałem przez chwilę, że tą postawą, ruchem, marsową twarzą, szarym mundurem i całym swym wyglądem przypomina mi Wodza Marszałka Rydza - Śmigłego odbierającego defiladę całej, ukochanej, Jemu posłusznej Armii polskiej.

Ten mówca umiał mówić. Nie tylko „powiedział, co wiedział“, ale powiedział co serce jego wiedziało, a co my wszyscy doskonale wyczuliśmy.

„T. Z. O. N.“ III a.

## Niezwykły hrabia i chłop.

**W** mniemaniu wielu hrabia i chłop, to prąd dodatni i ujemny, który zetknąwszy się powoduje krótkie spięcie. Przecież hrabią musi być człowiek z zadartą dumnie głową, niecierpliwie uderzający szpicrutą o cholewy swych butów do konnej jazdy. Chłopem zaś to wylekłe obdarte stworzenie, które mnąc brudną czapę w brudnych łapach, bełkoce: Jasny panie! Jasny panie. — To ci! A hrabia nic, tylko woła: „Służba! — Precz z tym obszarpańcem!“

Dowiedziawszy więc się, że „Niespodziankę“, sztukę o chłopie, napisał hrabia K. H. Rostworowski, wielu nie pójdzie, na nią mówiąc: „Cie, cie! Pańskie zabawki. Bo to taki chłopca zna? Co on tam wie“?

Kto jednak sprzeniewierzy się wzniosłej zasadzie: „Wara burzujom od chłopca“, ten obejrzawszy „Niespodziankę“, zdumieje się. I zaraz nasunie mu się pytanie, skąd taki arystokrata potrafił przejrzeć do dna proste serca ludzkie.



Czemu nas tak wzruszają jego bohaterzy? Odpowiedź prosta: Roztworowski w człowieku szuka tylko człowieka, nie zaś żadnego półboga ale również i żadnej bestii.

Trzymając się tej prostej, a tak trudnej do przeprowadzenia zasady, Roztworowski napisał: Judasza z Kariothu, Caiusa Cezara, Caligulę, Przeprowadzkę. — U mety i inne.

Sam też powiada, pisząc o przyczynie powstania „Judasza z Kariothu,” że pociągnął go tu tylko dramat człowieka jego nieszczęście a nie zbrodnia.

Jedną ma tylko wadę autor „Niespodzianki”: pisze tylko dla ludzi, nie zaś dla poszukiwaczy sensacji, którzy w tej pogoni porzucają tak nadzwyczaj kłopotliwy organ ciała ludzkiego, jakim jest mózg i serce. Siła i wartość sztuki... Roztworowskiego tkwi nie w bogatej akcji i wspaniałych dekoracjach, lecz w Przedstawieniu walki i burzy huczącej w sercu ludzkim. Mimo to, kto pójdzie na „Niespodziankę,” ten z zapartym oddechem będzie patrzył na przesuwające się na scenie postacie.

Nic tu tkliwego sentymentalizmu, nic tak modnego, zwyrodniałego naturalizmu w rodzaju Jalu Kurka, czy Żegadłowicza, a jednak sztuka porywa i wzrusza.

Taką to już dziwną moc ma ten krakowski arystokrata, nękany chorobą. Może w tym nieszczęściu osobistym leży to, że potrafi zrozumieć i oddać nieszczęścia drugich.

Roztworowski mimo, iż jest człowiekiem o głębokiej wiedzy i myśli, nie poszedł drogą wielu rzekomych geniuszów i postępowców, lecz został twardym chrześcijaninem. I to też ważne dla zrozumienia jego twórczości. Nie rozwinął on co prawda swego chrześcijaństwa, jak pstry sztandar dla oka innych, lecz na każdym kroku cicho i stanowczo, a przez to głośno, stwierdza swoje „Credo.” Kto czytał jego felietony naukowe w „Kurierze Poznańskim,” ten wie, kim jest Roztworowski — autor i kim Rostworowski — chrześcijanin.

Prostu na zakończenie: Idźcie na niezwykłą sztukę, niezwykłego człowieka.

Grzela

---

Sprawiedliwość ludzka jest tylko wtedy trochę bliższą

Bożej, gdy z siebie samej na rzecz przebaczenia

abdykację uczyni.

Z. Kościak-Szczucka

---

## „Expo 1937”

Wrażenia z wycieczki do Francji.  
(Ciąg dalszy.)

Pierwsza część mego reportażu powitała cała burza krytyki. Nie zwracałem na to uwagi, idąc śladami pewnego miernego zresztą „poety” gimnazjalnego, którego nierównie goręcej krytykują. Dopiero artykuł zamieszczony w niniejszym numerze a mówiący, że: „takie coś, to lada Salcia napisze”, wstrząsnęło mną. Wołam: mea culpa i obiecuję poprawę. Czy mi się to udało, nie wiem. Ocenę pozostawiam P. T. Czytelnikom. Ponieważ jednak owa „Salcia” pośrednio wpłynęła na zmianę mego sposobu pisania reportażu, uważam za słusne poświęcić jej, podczas od dzisiejszego artykułu całą moją pracę.

A więc: „Salci — autor. (Cooo? Kier. Wyd.)

Dóznym wieczorem wyruszyliśmy pociągiem pospiesznym w stronę granicy francuskiej. Każdy, jak mógł najwygodniej ulokowywał się w wagonach.

Wielu jednak zasnąć nie może. Kwestią spędzającą sen z powieki, to sprawa dewizowa. Marki turystycznej, jak wiadomo, wywozić nie wolno. Przepisu tego pilnuje się, jak nas przekonywano, bardzo ściśle, gdyż markę taką można bardzo korzystnie wymienić za granicą.

Nie każdy jednak zapasu pieniędzy się pozbył. Nic więc dziwnego, że z lękiem ogromnym czekał stacji granicznej.

Na gwałt wymyślano sposoby najracjonalniejszego pozbycia się marek, względnie nabycia ich. Nie zapomniano też o wagonie restauracyjnym, gdzie nie mało wsiąkło monety. Na szczęście pociąg zatrzymał się na dłuższy, bo 1-godzinny postój w Stuttgarcie. Napelniła się więc tam restauracja po brzegi członkami naszej wycieczki.

Z radością spoglądali na zajądających z apetytem z okien wagonów ci, którzy będąc posłusznymi literze prawa, wydali marki do ostatniego feniga w Norymberdze. Niejedni znaleźli nawet czas, by pobiec na miasto i przynieść nalepki hotelowe. Byli w mieście tym zaledwie godzinę, walizki ich jednak pyszniły się bajecznie kolorową nalepką hotelu stuttgarcckiego.

Resztę nocy spędziliśmy pogrążeni we śnie. Dopiero około godziny 4-tej nad ranem, obudził nas głuchy turkot kół wagonu. Pociąg przejeżdżał przez długi most na Renie. Rozespane twarze wycieczkowiczów przyległy do szyb, podzi-

wiając wspaniałą, choć w tym miejscu jeszcze nie największą rzekę Niemiec.

Okazuje się, że już minęliśmy niemiecką stację graniczną Kehl i jesteśmy już obecnie na terytorium „Republique Française.”

Pociąg staje w Strasburgu. Pogoda niestety, nie dopisuje. Cienkie strumyki wody spływają po szybach. Ten i ów drzemie jeszcze skulony w kącie przedziału.

Ruszamy dalej. Każdy z zaciekawieniem teraz tkwi w oknie, chcą znaleźć różnice w krajobrazie, i strojach mijanych ludzi. Nie bardzo to się udaje. Różnic między Niemcami południowo-zachodnimi, a tą częścią Francji, nie ma prawie żadnych.

Na jakiejś stacji wsiadają do wagonu żołnierze kolonialni. Nie zwracamy im uwagi, że wagon zarezerwowany, radzi, że można z kimś pomówić. Zwłaszcza ważnymi czuli się „Francuzi,” czyli władający jako tako językiem francuskim. Mówię „jako tako”, gdyż ucznia mówiącego biegle po francusku na wycieczce nie spotkałem. Wprost przeciwnie: wycieczkowiczów znających dobrze język niemiecki nie brakło.

Żołnierze owi, stacjonowani gdzieś w północnej Afryce, opowiadali bardzo chętnie, radzi jeszcze, że takich mają uważnych słuchaczy. Niestety, nie rozumiejąc z tej dysputy ani słowa, nie mogli mi współkoledzy tłumaczyć każdego zdania. Usunąłem się w kąt, rozglądając się przez okno. Zbiegające się tory, liczne domy i większy ruch na doskonałych asfaltowych szosach, wskazywał na to, że zbliżamy się do jakiegoś większego miasta. Wrychle też wtoczył się „rapid” na dworzec w Nancy.

Z pospiechem opuszczamy wagony, ustawiamy się dwójkami i wychodzimy do miasta.

Ruch uliczny duży nie imponował nam już tak bardzo po ożywionej Norymberdze. Mimochodem dowiedzieliśmy się, że Nancy z departamentem liczy tyle samochodów, co Polska.

Chwilowo jednak interesowała nas najbardziej sprawa śniadania. Dobrnęliśmy wreszcie do niedużej, w należyтым stopniu brudnej jadłodajni.

Głodni nie zważaliśmy zbyt na higienę. Zetknęliśmy się tu po raz pierwszy z kuchnią francuską. Jakieś sałatki, bułki długie na przeszło metr, to pożywienie Francuza.

Ledwieśmy skonsumowali śniadanie, już każą nam się zbierać się na zbiórkę. Idziemy złożyć wieniec na pomniku



Stanisława Leszczyńskiego, stojącym na placu jego imienia, przed pałacem, w którym były ten król polski mieszkał.

Ustawiliśmy się przed pomnikiem oraz wysłuchaliśmy przemówienia inż. Kempfa, towarzyszącego naszej wycieczce o roli, jaką odegrał nam rodak Stanisław Leszczyński na tej ziemi. Dowiedzieliśmy się, ile zawdzięcza Nancy temu królowi. Wznosił on wspaniałe gmachy i pomniki. Założył przepiękny park. Całe morze róż wprawilo nas w zachwyt i odurzenie swym zapachem, gdyśmy później park ten oglądali.

Po przemówieniu delegacja, złożyła wieniec na pomniku przy chóralnym śpiewie naszego hymnu narodowego.

Wprost z placu poszliśmy zwiedzić muzeum tamtejsze. Tak po muzeum, jak i po mieście całym oprowadzali nas studenci - Polacy, a właściwie studenci - mówiący po polsku, gdyż przeważnie byli to żydzi, wysiedleni nieraz z Polski, co nie przeszkadzało im przyznawać się do Polski, jako swej ojczyzny.

Po obiedzie i krótkiej chwili wolnego, nastąpiła zbiórka a o 16,20 odjechaliśmy do Reims.

Przestrzeń między Nancy, a Reims przebyliśmy szybko. Już o 19,41 wysiadaliśmy na dworcu „Gare Marne” w stolicy Szampanii.

Czekała nas tu przygoda. Dworzec jest obstawiony policją, umundurowaną i uzbrojoną od stóp do głów. Aut ciężarowych po bagaż nasz ani śladu. Siedzimy przymusowo w „hallu” dworca zerkając przez szyby na plac przed dworcem, nadaremnie usiłując zgadnąć, co nas czeka i co ma pogotowie policyjne oznaczać. Rychło rzecz się wyjaśniła. Z bocznej ulicy wyjeżdża auto pancerne i staje tuż przed gmachem dworca. W chwilę po tym wylania się czoło pochodu z czerwoną flagą na czele. Zaciśnięte pięści wznoszone, przy okrzykach, w górę, świadczą dobrze o nastrojach i przekonaniach tej grupy ludzi.

Pochód bardzo liczny, budził ogólne zaciekawienie wśród całej wycieczki. Ledwo przeszedł, auto pancerne podążyło za nim, policja opuściła dworzec, nadjechały ciężarowe samochody po nasz bagaż, słowem: miasto przybrało normalny widok.

Ulokowaliśmy się wygodnie w hotelu, pozostawiając zwiedzanie na dzień następny.

Rychło rano już nadjechały cztery duże autobusy, mające zawieźć nas na pola bitew w Szampanii. Zaraz po śniadaniu zajęliśmy w nich miejsca. Przez wąskie uliczki Reims



wydostaliśmy się na przedmieścia. Ślady wojny są jednak jeszcze widoczne na domach miasta.

Powoli wspina się autobus na wzgórze otaczające miasto.

Wjeżdżamy w las. Szofer wskazuje na małą, nawpół zapadłą kopułę betonową, leżącą tuż przy szosie. Objaśnia nas, że to posterunek obserwacyjny artylerii niemieckiej ostrzeliwujący przez 3 lata Reims. Jedziemy dalej. Nagły zakręt i dziwny widok otwiera się przed naszymi oczyma.

Olbrzymie pole pokryte niepozornymi, wyrównanymi krzyżami. Cmentarzysko wojenne.

Przewodnik objaśnia nas, że to cmentarz wojsk niemieckich. Leży tu przeszło 6 tysięcy ludzi. Dziwny jakiś majestat i smutek wieje z czarnych krzyży. Przez bramę, przy której stoi stróż cmentarza, beznoży inwalida wojenny, z pierśią okrytą medalami. Wchodzimy na cmentarz. Ileż tu nazwisk polskich! Ginęli nie wiedząc dla kogo i po co walczą. Dowództwo naczelne nie bardzo o nich się troskało. „Niemcy mówiący po polsku” — tak ich przecież określano.

Lecz czas już jechać dalej. Jeszcze jeden rzut oka na to smutne miejsce i już jedziemy dalej.

Z dala już widać dwa nagie zupełnie wzgórze, z których jedno ma ścięty zupełnie wierzchołek, jakby ręką olbrzyma. Dowiadujemy się, że ową niszczycielską ręką był tylko tygodniowy, nieustający dniem i nocą ogień huraganowy na to miejsce. Pękające pociski zniosły cały szczyt wzgórze.

Przy drodze spotykamy liczne tablice z napisem:

„Nie oddalać się ze ścieżek!

Niebezpieczeństwo śmierci.”

Pola te są tak naszpikowane bombami, że niemożliwością było ściśle uprzątnięcie ich. Leży więc tutaj cała moc pocisków nie wybuchłych.

Dojeżdżamy do wzgórze Nauroy. Tu przez kilka miesięcy ważyły się losy Francji. Tu po Verdun najkrwawsze było miejsce zmagania się dwóch wrogich armii. Z ciekawością spoglądamy na wzgórze. Całe pokryte jakby małymi kopczykami. To leje po granatach. Do dziś nie rośnie tutaj ani jedno drzewko, — ani krzak, — ani trawa należy

---

Miniona sława tyle jest warta, co  
chleb zjedzony w roku zeszłym

B. Prus

---

do rzadkości. Wszystko pokrywa biały proszek wapienny. Wzgórze Nauroy przed wojną było podobno pięknie zalesione. Wojna wykarzczała las lepiej, niżby to zrobili drwale. Idziemy pieszo na szczyt.

Wprost nie chce się wierzyć jak mogli tu wogóle ludzie istnieć. Posiłki nie nadchodziły, amunicji brakło, nie mówiąc już o jedzeniu. Żołnierz krył się w lejach wyłobionych przez działa wielkiego kalibru, gdyż z dawnych okopów śladu nie pozostało. Tu dopiero można ocenić zalety i walory francuskiego piechura. Zwracają naszą uwagę potężne bloki żel-betonowe wbite w ziemię.

— To miejsce to grób obsługi gniazda karabinów maszynowych francuskich — objaśnia nas przewodnik.

Gniazdo to połączone było korytarzem podziemnym z kwaterami podziemnymi, które potem oglądaliśmy. Pewnego dnia fatalny jakiś pocisk wybuchł tak nieszczęśliwie, że zawałił korytarz podziemny.

Obsługa w ten sposób została żywcem pogrzebana. Nikt im nie mógł przyjść z pomocą, choć przez otwory strzelnicze słyszeli wołania swych towarzyszy broni. Cierpienia ich przerwał jakiś litościwy pocisk od innych. Musiał być bardzo wielkiego kalibru, gdyż wbił cały schron betonowy w ziemię, miążdżąc oczywiście obsługę. To co oglądaliśmy, było właśnie szczątkami owego gniazda karabinów maszynowych.

Lecz nie czas na rozważania, choć te siłę rzeczy cisną się do głowy. Dążymy wytrwale dalej: Po drodze znajduję tam trochę znajduję tam bomby stare, pochłaniacze od maski gazowej, stare manierki i inne wojskowe przyrządy. Dochodzimy do szczytu wzgórza. Tu mieści się wejście do podziemnych schronów żołnierzy. Wąskimi, oślizgłymi z wilgoci stopniami dążymy do podziemi. Migotliwe płomyki świecach nie bardzo oświetlają mroczne korytarze. Idziemy coraz niżej. Dopiero na głębokości mniej więcej trzeciego piętra, dochodzimy do właściwych kwater wojskowych. Kwatery te musiały być budowane tak głęboko, gdyż w przeciwnym razie uległyby zasypaniu przez bomby, bijące na powierzchnię.

Rozglądamy się po małych celach, gdzie przebywało nieraz kilkunastu ludzi. Powietrze stęchłe i duszne zmusza do opuszczenia tych podziemnych koszar. Z radością wdychamy świeże powietrze. Rozglądamy się ze szczytu. Cisza i kompletna pustka, to pierwsze i jedyne wrażenie.

Siadamy do autobusów. Opuszczamy pola walki. Musimy przecież poznać i inną Szampanię. Wszak to ojczyzna

szampana. Przez okna śledzimy nieskończenie rozległe winnice. Autobus mija ciche o ciasnych uliczkach miasteczka. Domy o wąskich oknach, dużo zieleni, żywo przypominają Neapol, czy inne południowo-włoskie miasta, podziwiane na ekranach, czy fotografiach.

(ciąg dalszy nastąpi)

M. Banaszkiewicz

## Podśluchana rozmówka.

Do długim oczekiwaniu ukazał się nareszcie. Jednego dnia około wielkiej przerwy granatowy tłum patrzyły czerwone plamy. Wolnego miejsca pod ścianami ani na lekarstwo. Mury groziły powyginaniem się od tych podpór. Wszystko trwa w bezruchu. Niekiedy tylko głowa zatoczy klasyczny łuk od ściany na piersi i z powrotem, naśladując przemądre potakiwanie. Tu i ówdzie śmiech gruchnie i pięść z nadmiaru zachwyty spada na ramię sąsiada. Uwagi sypią się jak z rękawa. W jednym kącie już go przeczytano. Teraz więc język w ruch; krytyka co się zowie.

— Z tym Promieniem mogliby dać się zaorać. Prawie nic porządnego w nim nie ma. Redaktor stęka na brak materiału i sili się to wyrazić wykwintnie...

— A ty co byś powiedział na jego miejscu?

— Nie bój się. Umiałbym dać coś lepszego niż parę kulawych i zwietrziałych frazesów.

— No, no, nie bądź taki mądry. Pamiętasz jak się to „spitwano“ z polskiego i to na takich głupstwach?

— Spokój panowie — bo jeszcze się pobijecie.

— To cię nic nie obchodzi.

— Promień jednak jest do niczego. — Takie naprzykład „Expo“ każda Salcia potrafiłaby napisać. Zresztą co tam. O „nich“ nie ma co mówić. Podobno i tak nawet genialna kobieta ma tyle rozumu, co dwie kury a cóż dopiero zwykła...

Ale z tym Expo. Co za żywe, ładne i dowcipne migawki np. mogły powstać po tak bogatej we wrażenia podróży. A tak... Boże broń następny numer przed dalszym ciągiem w takim samym stylu!

— Następny „plód“ o mało nie wyczerpał wszystkich będący do rozporządzenia cudzysłów.

No i wreszcie ta poezja „Zycie.“ Ile czaru nosi w sobie to słowo. Głębia myśli uderza, jak obuchem. Wyobraźnia

bucha wprost z każdej nawet kropki nad i.

— Przypomnij sobie bracie, jak to wyglądało naprawdę. Idzie ci sobie taki typ przez „Kolejówkę”. Wygląda wspaniale; bary szerokie, spodnie szerokie, szeroki lampas i głowa szeroka. Patrzy z pode łba przez ludzi i przez okulary, jak przez szkło (zda się mówić: „Nie istniejesz dla mnie szary tłumie, noszę cię w dziurawej skarpetce”). Ręce w kieszeniach, występujące łokcie grożą przechodniom. No i ta spinka — wprost zabójcza; długa, wąska, wykrzywiona jak kobieta w tańcu, miłośnicie obejmuje te czarne kędziory, które były powodem tych łez i... paczek z ciastkami. —

— A pamiętasz Julek, jak to te dwie obracały się za nim wtedy? Wysoce mało ucieśzny widok.

— A co zrobiłbyś Robinsonowi, albo wspomnieniom z Rozewia?

— Te są nie złe. Prawda. Ale zobacz sobie, co błędów w tym „Promieniu.” To z pewnością chochlik kozły powyracał, — a może woda w zdrobniałym brzmieniu?

— Ech daj z tym spokój. Są przecież i wcale ładne kwiatki. Podobają mi się — Zybała, Erte. Tu jest jakiś posmak poezji. Albo sprawdzanie z wycieczki kajakowej też prawie nienaganne. I film do najgorszych nie należy.

— Ale już genialne jest po prostu, to szukanie tematów. Kogo tu winić o to, czy tego „poetę” czy czwórę? To nic jednak — podobno „omne tyrum pyrtum” — najgorsze pierwsze 50 lat. Tak samo i „faktowi koedukacyjnego kursu języka angielskiego” nie było „warto poświęcać” tych „kilku słów.”

— Stój no, stój. Coś się tak zagalapował. Napisz sam co lepszego. Napisz taką balladę. Złożę się o dwie szneki, że nie napiszesz.

— Co-o-o! Zresztą takich sePer-ultra — nowoczesno—Poetyckich ballad że potrzebuję wypisywać. Stać mnie na coś lepszego. Takiemu Jankowi też nie Pozwoliłbym tak kończyć.

— „ach; wszystko przepadło...”

...stracone....

...już nie wróci... — ach...

Gdzie tu sens, powiedz mi gdzie? Przecież smutek właśnie nastroja do muzyki. Skrzypce potrafiłyby wyplakać żal, rozpacz, one wypowiedziałyby skargę rozdartego serca.

Wiesz — masz jednak rację. Ten koniec się nie udał..

Wiecie co wam powiem — Chodźmy. — Obóz w Kowańcu „Chadubińskiego” jest dobry, sprawozdanie TTZ. referatu



„Zdrowy zaduch” - o pardon — „Zdrowy duch w zdrowym ciele, czy też zdrowe ciele w zdrowym ciele,” także. Reszta bardzo dobra. Jednak przerwa się kończy a my nic nie przetłumaczymy. Chodźmy.

Konieczny Heronim

---

## Marzyciele.

*Przez dni młodości wielu pewnie ludzi  
Wije się piękna, złota baśni nic,  
Która im każe wciąż w życiu się trudzić  
Dość marzenia... o miłości śnić...*

*Co im dziewczynę kochać każe z dala,  
Domki budować te wysnione... z kart  
I marzyć w nocy bezsennej pozwala  
O kimś, kto może tego nie jest wart.*

*Zbawę i miłości posiąść — marzy,  
Choć siły traci w kraju marnych snów.  
Aż mu, starcowi, rój złudnych miraży  
Prześnionych raz, przed oczy wróci snów*

*I choć mu nieraz brutalne, silne życie  
Potarga w strzępy tę marzenia nic  
Oni ją przędą dalej tak pracowicie!  
Do śmierci będą marzyć śnić.*

— S —

---

## Bo w lotnictwie dobrze jest...

Do długich a uciążliwych pielgrzymkach po różnych i wielu gabinetach lekarskich w Poznaniu i w Warszawie, nikt nie dowiedział się odrazu, czy zdolny i zdrow — czy też nie. Czekał więc w domu na zawiadomienie o przyjęciu na pilotaż.

Zawiadomienie przybyło, ale musiało pójść z nami — nad morze, do Rozewia.

No i wyobraźcie sobie! Obóz w Rozewiu (II turnus) kończył się 28 lipca a w zawezwaniu wyraźnie piszą: dnia 30 lipca stawi się pan X w Ustianowej. Po dokładnym rozejrzeniu się stwierdziłem, że w Ostrowie będę aż — 4 godziny.

Ustianowa Szybówkowa, to tylko nazwa stacji kolejowej w woj. lwowskim. Wieś zaś, obok której obozowaliśmy, nazywał się Równia Najbliższa miasteczko Ustrzyki - Dolne było oddalone od nas o 4,5 km.

Miasteczko takie sobie, ale mieszkańcy — zachowaj Boże, sami prawie żydzi. Rusinów też masa a sklepy prawie wszystkie w rękach żydów (Fryzjer Polak). Ale żydzi byli „dobrze wychowani”, sami schodzili z trotuarów (nauczył ich podobno tego poprzedni turnus lipcowy).

A w obozie, jak w obozie. Życie pyszne. Jedzenie jak zwykle w obozach — znośne. Jedynie mięso było (może tam mają innego rodzaju krowy) strasznie twarde. I to nie kilka razy, ale stale. Na skargę odpowiedział nam dowódca, że twarde mięso daje więcej kalorii.

Kolacje zaś były „wyborowe”, wciąż kasza, ale ta „gru-  
boziarnista” na twardo.

Obok tych minusów był jeszcze jeden, ale ten chyba najgorszy: woda do mycia! Taki był napis na tablicy przy rowku 30 cm. szerokości. Wewnątrz płynęło coś o podejrzanym wyglądzie i pochodzeniu.

Tu dopiero uwidaczniała się solidarność wśród kolegów. Dziennie myło się 5-10 osób na 160 w obozie.

Jedynie w sobotę mieliśmy wodę czystą i ciepłą, więc byliśmy zdania, że na tydzień, to i tak dosyć.

Co niedzielę chodziliśmy do Ustrzyk na nabożeństwo do kościoła rzym-kat. A gdyśmy wyjechali, nabożeństwa te skończyły się, bo nie było ich dla kogo odprawiać.

Rozpoczęły się wreszcie loty. Program więc był następujący: 6<sup>00</sup> pobudka — później modlitwa, gimnastyka, niby mycie, śniadanie. O godz. 8<sup>00</sup> zaczynały się loty i trwały do 12; od 12 — 15 przerwa obiadowa i wypoczynkowa i po niej znów loty do 18<sup>00</sup>. Następnie kolacja i modlitwa, chwila wolnego i capstrzyk tak, że przeważnie już o 19,30 spaliśmy.

Loty tak wyczerpywały, że lada chwila wolnego a już człowiek spał. W przerwie obiadowej spali wszyscy a „po-capstrzykowe wyce” były tylko z początku.

Teraz już o samym szkoleniu. Wstępem do lotów była t. zw. „szubienica” albo „chwiejnica”, na której uczeń wsiadając z szybowcem uczył się wstępnych ruchów sterami. Pobyt na szubienicy był bardzo nudny, bo jednostajny. Była to jednak podstawa pilotażu.

Następnym etapem były t. zw. „szury” cz. loty proste na wysokości do 50 cm. dokonywane z równego pola.

Po nich następowały już loty ze wzgórków, których w tej okolicy była masa. Tu już trzeba było się trzymać na wysokości od 5-10 m. nad ziemią.

Tak przechodziliśmy coraz wyżej.

Wreszcie instruktor uznał, że prosto umiemy już dosyć dobrze latać i przenieśliśmy się na wzgórze zw. „Kiczka” o wysokości ok. 70-80 mtr. nad poziom lotniska i przyległych pól.

Tu dopiero pokazało się, że latanie, to nie coś w rodzaju jazdy na rowerze. Bo jazdy na rowerze nauczy się każdy a latania nie można się nauczyć. (Tak nam zawsze mówił nasz instruktor) I dlatego nasza grupa z 18 ludzi zmniejszyła się wprawdzie do 11, a później do 9 ludzi. Ale nie tylko zmniejszyła się grupa lecz też liczby maszyn, bo były dni, że rozbito 6-8 maszyn. Z tych katastrof piloci zazwyczaj z małymi wyjątkami wychodzili cało.

Na całym kursie był tylko jeden wypadek śmiertelny. Zabił się jeden z instruktorów, ale z własnej winy, bo nie wziął ze sobą spadochronu mimo, że istnieje taki nakaz. Prócz tego żadnych śmiertelnych wypadków nie było więc w tym roku jeden z najszcześniejszych kursów.

Czas na lotach upływał jak woda. Zdobyliśmy [cała nasza grupa] kategorię A i B i do odjazdu dzieliło nas tylko 5 dni. Ale coż to jest A i B? My chcieliśmy czegoś więcej.

Okazja nadarzyła się wnet, bo już w następny dzień po kat. B. O samego rana wiał silny, północny wiatr, dobry znak że dziś żagiel, czyli unoszenie się w powietrzu przy pomocy samego wiatru, będzie możliwe. Ale instruktor tylko puścił na „żagiel”.

Lot żaglowy wymaga dużo napięcia nerwów i spokoju. Pięciominutowy „żagiel” wydaje się rokiem w powietrzu i człowiek zupełnie odruchowo przykładając zegarek do ucha, czy czasem nie stanął.

Wreszcie znak czerwoną chorągwią. „Ładować! — Robić miejsce w powietrzu innym”!

Co za radość! Kategoria „C” była. Ślizg na lewe skrzydło, potem na prawe, spiralka i już po 15 sekundach szybowiec lekko i posłusznie „siada” czyli ląduje pod stok góry.

Po odpięciu spadochronu i wyjściu z kabiny, gratulacje i odmarsz na zasłużony obiad. Odmarsz niestety ostatni, bo w ten dzień loty skończyły się.

Pociągi porozwoziły dyplomowanych już pilotów w różne strony Polski. Byli tam bowiem uczniowie różnych średnich zakładów z całej Polski.

Żegnali się wszyscy ze łzami w oczach i żegnali się słowem: Dowidzenia! Za rok bowiem spotkają się prawie wszyscy na kursie pilotażu motorowego w Bielsku, Łodzi albo w Rumii, a następnie pójdą zawodowo do jednego z sześciu pułków lotniczych, by jako orły bronić z powietrza Tej co nie zginęła.

Pilot

## Pogrzeb lotnika.

Leciałeś bracie zawsze w strefy górne  
A teraz jedziesz na małym dziale  
I miny widzisz smutne i pochmurne,  
Które szlochają, zawodzą swe żale...  
Ciągłe latałeś w słońcu rozesmiany,  
Druhu swobody lekki, jak bez ciała,  
Żadzą swobody i lotu owiany,  
Bo twoja dusza w górę tylko chciała!

Dzwony ci pokłon oddają żaloszny  
I trąby grają smutno, przenikliwie.  
Tworzą muzykę niegodną twej wiosny,  
Górnej młodości, spędzonej ucziwie.  
Tyś do muzyki sfery był przywykły,  
Zmieszanej lekko z warkotami śmigła;  
We dnie ci orły swoje „salve” krzykły  
A no cą gwiazda pozdrowieniem migła.

Pewnie się śmiejesz z tej zacnej głupoty,  
Co łzami zlewa twoje wyzwolenie,  
Której śmierć twoja sprawiła kłopoty.  
Bo ty nie dążysz w Elizejskie cienie!  
Twój duch lotnika, zwolnion w katastrofie,



Zdobywa przestrzeń bez granic, bez końca.  
 Nie do zawarcia w poetyckiej strofie,  
 Twój duch, lotniku, przeskakuje słońca.

Twój duch, lotniku, wędruje do Boga,  
 Za „sursum corda” wziąć liczne nagrody;  
 Jest to zarazem najdłuższa droga,  
 Lecz potym wieczne czekają cię gody,  
 Bo harce będziesz uprawiał w eterze,  
 Będziesz miał motor wieczysty i skrzydła  
 I będziesz latał w nieba stratosferze,  
 Bo stratosfera ziemi na zawsze ci zbrzydła!

Stanisław Zybała

## Ostrów — Warszawa.

**D**nia onego wracałem ze szkoły głęboko rozważając a w uszach mi szumiały słowa aktualnej wtedy reklamy:

Baczność! Uwaga! Frontem do festywalu! Wszyscy jada do Warszawy! Młodzi i starzy — chłopcy i dziewczęta — uczniowie i cywile!! Przejazd pociągami tam i z powrotem, śniadania obiady, podwieczorki, kolacje, noclegi, przejazd na stację Raszyn i z powrotem, wstępy na festywal, do muzeów, zwiedzanie radio-studio, teatry, kina, filharmonia... i t. p., ect., - i t. d., - c. d. n.!! — Cały ten interes, tylko jedne piętnaście złotych!!!

Rzecz niesłychana — Cwierć darmo!!

Śniła mi się tej nocy Warszawa: ładna, miła uśmiechnięta, w okularach. — „Chłopcy!” — rzecze — „Nikogo nie chcę namawiać, ale powiadam wam: Jedźcie!” — Tu tak dziwnie jakoś spojrzała, że krzyknąłem i — zbudziłem się.

W szkole znowu reklama:

Dziś ostatni dzień zapisów! Lista zgłoszeń ograniczona!  
 Kto jeszcze? — Komu jeszcze?!

I stało się, co się stać musiało.

Krokiem drżącym przestąpiłem próg i rzekłem: Jadę! — Usłyszałem: Płacić!

Z chwilą, gdy już pieniądze przestały być moją własnością, odezwał się głos cichy, tudzież nieśmiały.

„Wartoby coś suchego prowiantu zabrać, na.. tego.. na śniadania i kolacje. Parę groszy również, mogą się przydać.”

Najpierw powędrowaliśmy do naszej kwatery, do gimnazjum Batorego.

— „Możecie spocząć, godzina przerwy. Kto chce pić, proszę, tam dalej bufet; herbata tylko 15 gr.” — I tak już było dnia każdego.

Po godzinie ruszyliśmy na zwiedzanie: Najpierw Muzeum Przemysłu i Techniki, potem Muzeum Techniki i Przemysłu.

To i czas już był na obiad. Wędrujemy więc na obiad do zakładu Urszulanek. Gdyśmy przyszli, rzekł ktoś z patosem:

— „Moje nogi przechodzą kryzys ekonomiczny” — Oh, gdyby on był wiedział, co go jeszcze czekało. Po obiedzie dalsza wędrówka. Wieczorem, po powrocie, czułem się jak Hercules po swych pracach. Tamten ktoś powiedział: — Możliwości ludzkie wielkie są, jak serce niewiasty. —

W programie wycieczki było, jak murowane: — kina, teatru, filharmonia... Więc też następnego dnia po południu w te słowa rzecze do nas kierownik wyprawy: — A teraz wolne. Kto ma pieniądze może iść do kina, teatru lub filharmonii. Bacność! Na miejscu! Gotowi! Rozejść się! —

Wieczorem dostał był ktoś objawów morskiej choroby. W przerwach mrucał coś niewyraźnie o Urszulankach i o jakiejś spalonej zupie.

Pozostał jeszcze do zwiedzenia Raszyn i studio — Jak to będzie z Raszynem? — pytamy.

Niestety — Raszyna nie wolno zwiedzać bo ten.. tego. Smutno mi było, bo cieszyłem się na jazdę autobusem. Maszerujemy więc do studio. Informator objaśnia, że możemy żywić jakąś iskierkę nadzieji, że wpuszczą nas do wnętrza. Czekamy tedy. I otóż nadspodziewanie pozwolenie nadeszło. Ktoś tam stwierdził, że czekaliśmy trzy godziny i pięć minut, ale to pewnie nieprawda, bo ktoś drugi mówił, że tylko gładkie trzy godziny.

Ze studio wyniosłem wiele korzyści duchowych, oraz kawałek taśmy Seella na pamiątkę.

Tęgo wieczoru nasze fizjognomie wyglądały, jak przebite dętki.

„We Warszawie” — pociesza profesor — „obowiązuje zasada: Płacić i czekać”..

Przebite dętki kiwają się potakująco. Na dworcu czekaliśmy już tylko dwie godziny, co było niczym w stosunku do tego co przeżyliśmy.

Odjeżdżając widzieliśmy na peronie kilku Żydów i jakiegoś kolejarza. Tak nas żegnała Warszawa.

Pociąg ruszył. Noc była. Chłód wiał z korytarza. Pod nogami rozpędzone koła wystukiwały na spojeniach szyn monotonna i jakby drwiąco: Płacić — czekać — Płacić — czekać. Ktoś w kącie głosem jak u spowiedzi obliczał budżet.

Pytali mi się później, jakie wrażenie wywarła na mnie Warszawa.

Odrzekłem, jak poeta:

— Raz ujrzeć Warszawę i skonać. —

Addis — Adela.

## Mistyka.

*Seledynowe głębokie drzenie matowe. Magnetyczne  
Jego ocz promienie długie...*

*..... tętni deszcz,*

*gwiazdzisty deszcz*

*i dźwięczy w krąg srebrzyście*

*na księżycowej, świetlnej poloninie...*

*idę w śnie,*

*rozchwianym śnie.*

*przez smętny szelet liści*

*na jasny, w promieniach skrętny gościniec...*

*idę sam*

*do światła bram,*

*gdzie łuny snop jarzący*

*u dzwierzy Nadbytu fontanną klęczy...*

*w boskich ocz*

*wpatrzony cud*

*na kwietnej stają łące*

*i widzę, jak deszcz gwiazdzisty dźwięczy.*

Józef Szczublewski

## Już czas.

Kol. H. S. — Zwyk.

*Czas przyjrzeć się życiu swemu*

*Czas zbadać co się zrobiło,*

*By nie powiedzieć : Czemu*

*Tak się bezmyślnie żyło ?...*

Zwyk.

## „Niby coś, niby nic“

Pod takim hasłem odhyl się pierwszy tegoroczny wieczorek świetlicowy, urządzony przez T. T. Zet w dniu 16. X. 1937 r. Wieczorek ten zorganizował kol. Szczublewski zaznajamiając nas bliżej z hasłem i programem. Właściwej program otwarto piosenką i pieśnią go zakończono. (można pomyśleć, że TTZ, jest rozspiewany. — oby tak było) Śpiewana część programu wypadła najłapiej. Niewątpliwie świadczy o tym niebывały apluzuz dość licznie zgromadzonych kolegów i kilkakrotne bisowanie. Doskonale wypadła piosenka „Hej w gamai fajno jest“ wykonana przez kolegę Szczublewskiego. Ale na pewno w „gamai“ tak dobrze nie jest, bo przecież są tacy, którzy zajmują się nie tylko sprawami wymienionymi przez kolegę, lecz także innymi, wartościowszymi dla ducha.

Pozostałe piosenki wykonane przez „chór TTZ, w składzie: kol. Nadstawek, kol. Krystek, kol. Szczublewski, kol. Hyla, przy fortepianie kol. Kowalczyk — wypadły b. dobrze, wywołując miły nastrój wśród zebranych.

„Sprawozdanie (fikcyjne) z zebrania zarządu TTZ.“ odczytane przez kol. Ożęgowskiego z właściwą jemu swobodą, było jednym z silniejszych punktów programu. Dohrze, że tak nie wyglądają zebrania zarządu obecnego TTZ., ale ośmielam się twierdzić, że jeżeli praca TTZ. pójdzie dalej takim torem (nie z winy zarządu), to do takich właściwie zebrań dojdzie, a więc „Telezetowcy“ starajcie się do tego nie opuścić.“ „Nasze gimnazjum za 100 lat“ wolna fantazja kol. Szczublewskiego. Rzeczywiście obecne programy nauczania dają do zaprowadzenia właśnie takich zmotoryzowanych, i zmilitaryzowanych i zmodernizowanych szkół. Szkoda, że do „gamai“ nie można 100 lat chodzić, bo do takiej „gamai“ tobym chciał uczęszczać. „Silenie się na dowcip“ na przyszłych wieczorkach należy takich sileń unikać. Deklamacja kol. Szczublewskiego „Skok w dal“ świetna zwłaszcza doskonale zakończenie.

Nie harmonizowała z całością „Modlitwa Dziewicy“ solo fortepianowe kol. Kowalczyka z dwóch względów a to, że mu utwór był za poważny w stosunku do pozostałych punktów programu, a po drugie, że gimnazjalna publiczność nie ma wystarczającego zrozumienia dla muzyki poważniejszej, albo co jest więcej możliwe : nie zna się na niej.

Cały wieczorek można uważać za udany. Szkoda, że cały program wykonało tylko sześciu członków. Jeśli tak dalej pójdzie, to na pewno będziemy słuchali niedługo sprawozdań z zebrań podobnych do fikcyjnego sprawozdania kol. Ożęgowskiego

„J“



## Wzorowe wypracowanie.

**W** jednej z najwyższych klas naszego zakładu, członkowie t. zw. „Komisji” ułożyli cały szereg tematów maturalnych, chcąc widocznie w ten sposób pomóc profesorom.

Znalazły tam się tematy :

- 1) Kronika Galla a „Dziady”.
- 2) Kwestia bezrobocia i komunizm w „Figlikach” Reja.
- 3) Pikanteria w „Żywocie człowieka poczciwego” Reja.
- 4) Mistycyzm w dziełach Kadłubka.
- 5) „Marchońt gruby a sprośny z gadkami uciesznymi” jako bohater romantyczny.
- 6) Charakterystyka XX w. na podstawie „Legendy o św. Aleksym”.
- 7) Wpływ poezji J. Szczęśliwskiego na J. Słowackiego.
- 8) Artyzm i patriotyzm w dziełach ks. J. Baki. (Na podstawie: „Cny młodzik, migdałiku).
- 9) Wpływ promieni kosmicznych na stolarstwo, a Mickiewicz.

Tematy powyższe nie sprawiały kłopotu nikomu z wyjątkiem może ostatniego. Ponieważ brak do niego, niestety, drukowanych „pomocy naukowych”, zadałem sobie ten trud i temat ten a właściwie wstęp do niego opracowałem. Przypuszczam, że trud mój nie poszedł na marne i będę mógł za Horacym powtórzyć

„Exegi monumentum”...

W pracy mej starałem się włożyć jaknajwięcej prostoty i swobody, by mogła być zrozumiała nie tylko przez abiturienta, lecz i przez pierwszoklasistę.

„Przetrawienie” jej pozostawiam PT. Czytelnikom.

„Wpływ promieni kosmicznych na stolarstwo a Mickiewicz”.

Promienie kosmiczne wskutek katoptromacji, względnie peptonizacji, która następuje w wypadku malacji takowych w ciałach polimerycznych, w tym wypadku w atropizujących się cząstkach korozji stolarskiej, podlegają pedestracji, czyli kosmogenicznej korelacji.

Wywołuje ona natychmiastową hermeneutykę owych cząstek i pierwiastków. Zawarty zaś w promieniach hematyt niweluje wpływy dewolucyjne pragmatyzmu pozycyjnego, rewindykowanego silnie przez schematyczne scyntyllacje owego suprematu.

Zoomorfity kosmosu, które nie zostały zniwelowane megalitycznie oddziałując na mediację figiterapii drzewa stolarskiego.

Frigeriterapia, czyli segregalna sekundo-genitura synechii, wprawia w stan synklinalny cząstki protoniczne i arymutalne włókien drewna. Te zaś znajdując się w dużej synercji w pierwiastkach lewacyjnych papieru, swoją obecnością wpływają na persewerancję i persyflację piszącego na takowym.

W razie jednak stromatycznej frigeriterapii, to potrzebną okazuje się mediacja czynnika persewerancyjnego, czyli pertytu, obficie występującego przy wtórnym perpendykularnym persyflażu materii i jej cząstek reperkusyjnych.

Ponieważ jak wynika z resumé powyższego, hematyt działa frenoplekcyjnie z geniuszem narratorsko - poetyckim, możemy stanowczo twierdzić, że związek fumigacyjny retrospekcyjnych i ksylogicznych promieni kosmicznych, z paroptycznym, względnie prerogatywnym stanowiskiem pierwiastków stolarskich, a twórczością retykularną i ogólną poety Adama Mickiewicza, jest bardzo ścisły i rewindykujący się, co potwierdza zresztą restrykcja takowych pomiędzy sobą... etc"...

M. Banaszekiewicz.

---

## Czytam gazetę.

**P**rzedemną leży stos dzienników, tygodników, miesięczników. Biorę jeden z nich.

Jak się nazywa? „Kurier błyskawiczny,” dziennik codzienny, ilustrowany bogato i estetycznie. Cena numeru... codzień ta sama. Redaktor odpowiedzialny Feliks Odwaga.

Przeglądam numer. Na pierwszej stronie o powierzchni hektarowej wielki napis tłusto nadrukowany woła tłustym głosem, że „hrabia Baron von Książę wyjeżdża na Floridę”. Dalej stale powtarzana wiadomość: „Okropne morderstwo w zagajniku — piorun zabił chrabąszcza”. Następnie jeszcze kilka drobniejszych komunikatów: O ministrze bez teki i bez portmonetki i o tym, że nałożono mandat karny na gimnazjastę, który szybko biegł przez ulicę nie mając przepisowej tabliczki z numerem.

Na drugiej stronie opis wspaniałej uroczystości z okazji któregoś tam — lecia zwycięstwa partii w państwie sąsiadującym z nami. Przytoczę w przybliżeniu urywek z tego głęboko i filozoficznie ujętego opisu obrazka:

„Z Norymbergi... Na podwyższeniu stoi „on” — Adolf Mocny, Wokół niego hitler - owce podnoszą rozwarte ręce (na znak, że nie mają w nich ukrytej broni) i krzyczą entuzjazmem: „Heil!!!” A on myśli, myśli o tym, czy nowe masło zebrane „dobrowolnie” wśród społeczeństwa wystarczy do przeróbki na 12 (przynajmniej)... armat. ...Gdzieś w małym domku mamusia czesze główkę synka à la dołf...”

Poniżej inne wiadomości ze świata politycznego: Przewrót w państwie Karola XIX, Rewolucja. Na... Machorce, wybuchło powstanie przeciw królowi Temu-a-Temu w kraju Takima-Takim (Afryka), minister Abdykescu składa najszczęśliwszą kensekwencję panu komisarzowi Beztekescu, no i wielki raut na cześć pana ministra „Spraw Pożalowania Godnych.

Następna strona nosi tytuł: „Wiadomości ze świata sportowego.” Czytam z rosnącym zaciekawieniem i zadowoleniem: „Znany sportowiec polski Jotszczu Bel zdobył mistrzostwo świata w (spalonym) skoku w dal. Tłumy zebrane na trybunie wznoszą okrzyki: Vivat poeta! Vivat Musa Sarmatica! Zwycięzki sportowiec wstrząsa dziko bujną, czarną czupryną, nie mogąc uwierzyć w swe zwycięstwo.”

Dalej zamieszczono: „Wywiad naszego reportera ze znanym zapaśnikiem Zbyszkiem Prawdomówiczem.” Oto wyjątki z tego zprawozdania:

„Zbyszko P. pochodzi, wiadomo ze wsi znanej z tego, że... on się w niej urodził. Po znalezieniu się w tej wsi, dojściu i wejściu do chaty rodzicielskiej popularnego zapaśnika, rozpoczynamy rozmowę:

— Dzień dobry mistrzowi!

— A dosyć dobry.

— Co pan w życiu najbardziej lubi?

— Ciastka z kremem.

— Kiedy pan pierwszy raz zwyciężył?

— Wtedy, gdym pierwszy raz pokonał przeciwnika.

... Rozmowa się nie klei, nam się kleją oczy, więc żegnamy mistrza i wracamy.”

Po przejrzaniu pierwszej części „Kuriera” zwracam uwagę na ogłoszenia, przede wszystkim „drobne” (te są zawsze „najmądrzejsze.” Przedstawię tu tylko takie, które mi najbardziej przypadły do gustu. A więc:

„Ożenki — Panna niemłoda, niepiękna, lecz bogata ...w projekty, pozna pana na wyższym stanowisku, najchętniej pułkownika z dyplomem. Oferty pod: dobra partia.

Sprzedaż — Sprzedam wielki dom zaopatrzony w naj-

nowsze urządzenia, jak światło naftowe i dzienne, woda wprost ze studni itd.

— Największych mas humoru z najlepszych humoro-źródeł dostarcza Naczelna Komisja Humorodajna.

*Osobiste* — Jeśli pan jesteś tym, którego wczoraj uderzyłem w twarz, proszę się zgłosić po... plaster. Adres: Spelunka „Pod Czarnym Kociakiem.”

Chyba dosyć?

Olśniony wspaniałą treścią i jeszcze wspanialszym redagowaniem „Kuriera Błyskawicznego,” odkładam go na bok i pogrążam się w zadumie dla „przeżucia” wiadomości, co dopiero Przyjętych do wiadomości.

„TZON.” IIIa

## S A T Y R A.

### Zemsta.

*W średnich to wiekach było :*  
*Udał się rycerz piękny do zamku*  
*I rzekł księżniczce: „Moja miła!*  
*Daj mi swoją rękę, Danko!*  
*A ona go zu drzwi wyrzuciła.*

— — — — —  
*I cóż zrobił piękny rycerz?*  
*Innej śpiewał serenady*  
*A na księżniczkę*  
*Z zemsty napisał balladę.*

*(Nawiasem dodać mi wypada,*  
*Że zemstą jest także ballada!)*

### Wyznanie.

*Odkładam pióro.*  
*Do druku daję wszystko skrycie*  
*i czem tylko —*  
*— na o d bicie.*

*Erte*



## Zarozumiały.

*Szedł ulicą  
Z nikim się nie liczył  
(I to się zdarza!)  
Bo niósł pod pachą  
teczkę 1 TZ-etu  
sekretarza.*

---

## Sensacyjne odkrycie przyrodnicze.

Ostrów Wlkp. — 13. XI. 1937 r. — Do naszego miasta przybyła grupa Badaczy Wybryków Natury z Warszawy dla przeprowadzenia badań na tutejszym terenie, zagazowanym ?) Przyjazd ten wydał nadspodziewane owoce, gdyż z radością odkryto nieznaną dotychczas odmianę motyla. Złapano go w murach naszego gimnazjum.

Jest to prawdziwy wybryk natury, w odróżnieniu bowiem od innych motyli bardzo spokojnych i potulnych, jest on nieznośnym owadem, od dawna dotkliwie odczuwanym przez gnębionych uczniów, którzy poprostu z klas na dziedziniec przed nim uciekają. Drugim szczegółem godnym zanotowania jest to, że podczas gdy inne motyle posiadają tylko dwoje oczu, ten posiada ich czworo. Ze względu na właściwości nadano temu wybrykowi nazwę „motyl-policjant (czworooczny)”.

Nie możemy jednak stwierdzić, czy ten nowoodkryty motyl został zabrany dla dokładnych badań do Warszawy, czy też pozostając, będzie w dalszym ciągu dawał się nam we znaki.

„T. Z. O. N.” III a

---

## Kuracja.

MOTTO: Szlachetne zdrowie  
Nikt się nie dowie  
Jako smakujesz  
Aż się zepsujesz...

Imię p. Kalasanty Kadłubek mistrz dekarSKI, stary kawaler był majstrem co się zowie. Robotę odrabiał rzetelnie więc klientelę miał wierną, a co za tym idzie: forsy też miał

dosyć, a mimo to nie hulał, był człowiekiem skromnym i spokojnym. To też sąsiedzi zdziwiliby się bardzo, widząc go tak dziś rano. Właśnie wyszedł z domu i trzasnął drzwiami, że aż mała kamieniczka, własność p. Kalasantego, zadrzała w posadach. Nie dosyć na tym! Po wyjściu na ulicę splunął siarczyście na chodnik, co źle świadczyło o jego humorze, gdyż p. Kalasanty jako człowiek „jenteligentny” zazwyczaj spławał na jezdnię. Jakby w usprawiedliwieniu mruknął do siebie:

„Pieskie życie! Zda się człekowi, że trzyma szczęście w łapie a tu byle zaburzenie żołądkowe i diabli wszystko wzięli”. I marzył dalej, ciężko postępując. Pełen melancholi i zadumy patrzył w ziemię i ocknął się dopiero na serdeczne pozdrowienie p. Kufła, restauratora i właściciela lokalu „Pod dzikim osłem”.

— „Dzień dobry p. Kadłubek!”

— „Dzień dobry p. Kufel!”

— Jak tam idzie? —

— Na pół z płaczem! —

— Czemu? Co się stało? —

— Ano widzicie! Jak zym wczoraj przyszedł od was po tym jednym piwku, to całą noc nie mogłem spać. Takie żganie w brzuchu, że ani oka zmrużyć! A kiedy zdrzymałem się małą chwilę, to znowu biegunka...

— A od czego od czego? —

— A ho jo wiem? — Może od tego piwka? Bo też p. Kufel od niejakiego czasu to, to wasze piwsko...

— E! nie gadalibyście głupot, mosterdzieju, mam przecie zawsze świeże od Hysza... To tam z wami nie wporządku, bo sześćdziesiątka na karku...

— E. nie gadalibyście głupot! Młody jeszcze jestem i nic mi dotąd nie było... A może wiecie co na te dolegliwości?

Pan kufel namyślił się. I marszczył brwi, potargał siedem rudych nitek we wasię, pięć nędznych kłaczków na brodzie i doszedł do przekonania, że to jednak piwo... Pan Kadłubek był dzielnym piwoszem, to prawda, ale, co za nadto, to niezdrowo! Wlał za dużo do beczułki i to mu zaszkodziło. Ale klin klinem!

— Wiecie co? Na to najlepsze takie dwa fornalskie. Gruchniecie sobie, potem spać i szlus!

Na drugi dzień powtórzyły się oznaki złego, hnmoru choroba nie ustąpiła. Zatem p. Kadłubek powłókł się na swoich „plattfusach” do kościoła, by u swego drugiego pa-

trona św. Antoniego wyprosić zdrowie. Ale w drodze powrotnej stracił to zaufanie i wstąpił do apteki po zdrowotną wodę.

Aptekarz p. Hieronim Pigułka smętnie pokiwał głową nad stanem zdrowia delikwenta i po świetnie odegranym namyśleniu się, orzekł: tasiemiec! — Ale jest na niego sposób. Mam niezawodne pigułki, tylko, nieco drogie, bo trzy złote sztuka. Kuracja winna trwać trzy dni, po trzy sztuki dziennie...

Pan Kalasanty ceniąc zdrowie, wyżej od mamony zapłacił okrągłe 27 złotych i ruszył do chaty wyganiać tasiemca. Ale był to okaz wytrzymały i jakoś żdzierzył, siedział dalej i ssał życiowe soki z p. Kalasantego. Więc tenże poszedł szukać porady wśród ludzi. I znalazł ją u kumy Kunegundy, szpetnej baby o żółtych zębach, podobnych do klawiatury staroświeckiego klawikordu. Consilium odbyło się na „Zielonym Rynku” bez zieleni, (wyłączając jarzyny na straganach) nad beczką najświeższych szkockich matiasów. Kuma pokiwała uczenie głową i potwierdziła orzeczenie p. Pigułki.

— „Tak, to tasiemiec!” — Pan Kalasanty wybałuszył oczy! — „Widzicie kumie, wyście dawniej mieli jednego, to wam z nim było dobrze, bo gdyby nie on, tobyśta się zapasli na śmierć. Ale tero je trza przepędzić, bo ten jeden się rozmnożył i hulają se po żołądku”.

Rozpacz zjawiała się na twarzy p. Kodłubka, ale niehawem wystrugał nieco weselszą maskę, bo interlokutorka ciągnęła dalej.

— Ale jest na nie sposób. Tu w tej beczce mam śledzie! Zjecie dwa i zaraz pójdziecie spać, ale nie wolno wam pić aż do północy. To wam ulży”.

P. Kalasanty połknął dwa tęgie „ikrzoki” z łbem, z ognem i pletwami, zapłacił za te lecznicze śledzie złotego i ruszył do domu. Cały dzień paliło go piekielne wprost pragnienie i z niecierpliwością oczekiwał północy. Gdy ta wybiła na kościele, rzucił się do kranu, pił jak ów legendarny smok wawelski, że aż w całym mieście przestała woda dochodzić do górnych pięt. Po tym oczekiwał tasiemców. Ale bestie nie zjawily się: Natomiast p. Kalasantego chwyciły gwałtowne kolki. Wił się z bólu i wątpił czy dożyje do rana.

Skoro też nastal brzask, pędem ruszył do lekarza, bo globusisty brzuszek znikł i p. Kalasanty sądził przynajmniej jak kontuzjowany Kusociński. Ale do mety nie dobiegł! Zatrzymał go bowiem, stojący przed swym warsztatem najlepszy miasteczkowy skrobidecha Feliks Politura i spytał

o powód „maratonu”. Gdy się dowiedział, za głowę się chwycił.

— „Do doktora? Jeszcze do tego? A toć on z was ściągnie walutę i na tamten świat wyprawi. Ja wam powiem, co wam jest i jak zaradzić. Wy macie od dawna na żołądku kołtun, taki babski kłak a największo bieda, że on jest rudy, bo takie tak prędko nie wylyżą i połą jak wągielki czerwone. On inaczej nie wylyzie, jak w krydzie. Musicie se zjeść takie dwie sztokki, to wam pomoże...”

Pan Kadłubek a raczej jego połowa ruszyła po lekarstwo, według recepty Feliksa Polityry do... — księgarni. Kupił paczkę najlepszej kredy „Iskra Karmański” i oczekiwał rezultatu.

— Rezultat był — ujemny. Zatem p. Kalasanty ruszył wreszcie do prawdziwego lekarza. Pan dr. Lancet stwierdził, że to katar żołądka z komplikacjami, bo z wydzielaniem kredy. Wypompował mu tedy żołądek, zrobił lewatywę z resztek od śledzia i kazał mu przyjść nazajutrz rano, ale na czczo.

Gdy przyszedł, lekarz już był w gabinecie i niebawem pani doktorowa przyniosła tamże herbatkę i sucharki. Pan Kalasanty usunął się na bok zdziwiony, że mimo tak skromnego odżywiania się p. doktor tak dobrze sobie wygląda i oczekiwał ze stoicyzmem, aż p. doktor się posili. A doktor znowu oczekiwał, aż to samo uczyni p. Kalasanty. A że był gorączka i wielki raptusiewicz nie wytrzymał długo i ryknął.

— „No wcinajże pan do cholery!” — Przecież zaraz będziemy rznąć!

Pan Kalasanty spojrział na niego jak na uciekiniera z Owińsk i zaraz ogarnęły go myśli, stojące dęba na głowie. „Już dawno gadali na mieście, że on coś fiut fiut! Jezus Maria! Przecież on na prawdę w takim stanie [gotów mnie zarznąć"! I struchlały rzucił się do drzwi, zostawił laskę i melonik i jak zdrów przebiegł całe miasto, dziwiąc lekarza i ludzi, aż zatrzymał się dopiero w domu.

Dolegliwości po wstępnych zabiegach p. dr. Lanceta zmniejszyły się, ale nie ustaly. Na domiar złego poczęły mu rósć w gardle wrzody i zupełnie zaniemiał. Pojechał więc na wieś po poradę do ciotki Petruneli, wdowy po „owczarzu”, znachorki słynnej na całą okolicę. Ta orzekła, że wrzody może wyleczyć, ale kataru żołądka nie, bo to nie jej specjalność.

Przystąpiły zatem do zabiegu. Gotowała garnek kar-tofli z lupinami, wszystko to posiekała w świńskim korytku i nalala do tego wrzącego tłuszczu i wymierzała. Preperat ten



wsadziła do worka, od wyciskania sera, jeszcze mokrego, a ten cały pakunek usadowiła szczelnie naokół szyi p. Kadłubka. Pan Kalasanty skoczył jak opętany i zaczął z bólu ryczeć jak potępieniec. Ale worek dzierzył wytrwale na karku! Po kilku minutach umilkł, bo nie pozwoliły mu na to wrzody, które pękły, nie wiadomo, czy wskutek zabiegów ciotki Petruneli, czy wskutek nieludzkich ryków męczzonego pacjenta. W każdym bądź razie p. Kalasanty Kadłubek wypluł pół wiadra materii (brrr...!), pobyl jeszcze u ciotuni dwa dni i zupełnie na gardło wydobrzył. Nawet na żołądku polepszyło mu się, ale jeszcze nie ustało, więc ciotka poleciła mu jeść na „zatkanie“ suszone jagody, oraz dała mu glejł polecający do „owczarza“ Walentego Ziółka.

Ten polecił mu jako najlepszy środek leczniczy surową cebulę wyrwaną prosto z ziemi, nieotartą z piasku, bo taka zawiera najwięcej „witaminów“.

— Tylko — kończył receptę p. „homeopata“ Ziółko — będzie trochę czuć...

— Jakoś poradzę! Wpadł mu w słowo p. Kalasanty!

— „Nie o tym myślałem! Chciałem powiedzieć, że będzie czuć z ust! —

— Nic nie szkodzi! —

I p. Kalasanty wyzdrowiał! Nie wiem, czy przemógł jego żelazny organizm, czy pomógł „owczarz“, w każdym razie wcina cebulę, jest zdrow, ma „figurę“ i taki jest pełen animuszu życiowego, że ma nawet zamiar skończyć starokawalerstwo.

Stanisław Zybala.

---

## Powrót.

Tajemniczo szemrał bór sędziwy. Szeleścił liśćmi swych wiekowych dębów i buków śpiewając pieśń starą, jak świat, o radości życia... Po krzewach i mrocznych leśnych gankach tłukł się mrok nocny, tylko na skraju, drzewa i krzaki wysrebrzył swym blaskiem księżyc, żaglując beztrósko po pogodnym niebie. Rozchyliły się cicho gałęzie leszczyny i na polanę wyszedł człowiek. Stary już był, siwy i przygarbiony wiekiem pewnie. Na pokrytej szczytniastą, zaniedbaną brodą twarzy, tułał się wyraz niebywałego podniecenia... Zataczając się, jak człowiek pijany lub nieprzytomny ze szczęścia, ruszył

przez pola ku wsi, co mającyla zdala wyniosła wieżyczką kościółka, oraz gromadą chłopskich zabudowań.

Nagle stanął. W krzakach, które niedawno minął, rozpoczął swój koncert słowik.

Trele, nieśmiałe z początku, wzrastały, przybierały na sile, były tryumfalną fanfarą, cichły na chwilę, to znów powracały falą wzmożoną...

Mały śpiewak przestał...

Cisza olbrzymia zaległa pola i las, tylko od czasu do czasu dolatywało od wsi poszczekiwanie łaciatych wartowników...

Mistrz rozpoczął znowu. Bulgotał głos radośnie i niezrównanie w jego maleńkim gardziółku i wylatywał przez otwarty dziobek na pola, zasnute mgłą tajemniczości i ciszy...

I leciały tony radosne, jak serce dobrego człowieka, w świat szeroki, pogrążony teraz w śnie głębokim, niosąc wieść, że życie jest jednak piękne.

Wędrowiec stanął w środku pola... Nastąpiła w jego życiu chwila, jedna z tych, w których widzi się jak na dłoni wszystkie dni, przebyte w ziemskiej wędrówce... Starczy w takiej chwili melodia, lub obraz widziany kiedyś, aby wywołać burzę wspomnień...

Człowiek stojący w głębokiej zadumie, przypomniał sobie, że dawno, dawno słuchał głosu słowika podobnie jak teraz, na progu rodzinnej chaty we wiosce, co wynurzała się przed nim...

Dawno to było, przed straszną zawieruchą wojenną, co rzuciła go, jak wichur rzuca zeschnięte liście w obce kraje, między obcych ludzi...

Spadały w klepsydrze czasu ziarenka dni, miesiący, lat, a on przebywał stale zdala od swoich...

Teraz wrócił...

Cisza niesła się po polach, słowik umilkł, kundle wiejskie ucichły, w powietrzu unosił się lekkie tchnienie budzącego się poranku.

Wędrowiec zdjął czapkę z głowy. Lekki wiaterek igrał z jego siwymi włosami, a on podniósł wzrok ku górze, tam, gdzie coraz bledsze migotały gwiazdy i w oczach zabłyśły mu dwie perliste łzy, łzy szczęścia...

Szabowski Henryk kl. II c.

---

Szczęście grymaśne bywa i długo nie  
zagości na jednym miejscu.

W. Burek

---

KĄCIK TŁUMACZEŃ

## Pochwała wsi.

„Beatus ille..“

P. prof. B. Chrzanowskiemu — tłumacz.

Zdała od miasta jest człowiek szczęśliwy,  
Tak po zwyczaju starożytnych ludzi;  
Wołami orząc praojcowskie niwy  
Lichwą krwiopilczą rąk swoich nie brudzi,  
Snu mu nie klóci pobudka wojskowa  
Ani go straszy morski żywioł wrogi;  
On przed publiką w zacisze się chowa  
Nie dążąc nigdy w pańskie dumne progi.  
Żyje w swym siole i winnej chabinie  
Każe się wspinać na szczyty topoli,  
Albo w ustronnej, zacisznej dolinie,  
Bydła dogląda, co rycząc swawoli;  
Dziczki obcina, by swego ogrodu  
Płonki przeszczepić na gatunki inne;  
Do amfor czystych leje dużo miodu  
Albo owieczki ostrzyga niewinne.

A gdy z kolei z miedz wychyla głowę  
Jesień ozdobna w owoców klejnoty,  
Zrywając grusze ma rozrywki nowe,  
Lub winny owoc purpurowo - złoty,  
Aby go tobie podarować  
I tobie, granic obrańco Sylwanie.  
Przyjemną rzeczą pod dębem się schować  
I w wonnej trawce uciąć sobie spanie;  
Toczą się wody tuż w korycie rzeki  
I kwilą ptaki w niedalekim gaju,  
Źródła szemraniem sklejąją powieki.  
Ptasiego mleka brakuje do rajul

A kiedy zima idzie z grymasami  
Przynosząc deszcze i śnieżne zamieci  
Rolnik-myśliwiec dzika goni z psami  
I w rozstawiane wnet napędza sieci,  
Albo podparłszy gładką żerdzią siatkę  
Potrzask na żerte gotuje kwiczoły,  
To na szaraka uczyni zasadzkę,  
Żórawia schwyta przez sam stryczek goły.

A wśród tych zajęć kłopotów ubywa  
Których to miłość nie szczędzi nikomu.  
Ze swej zaś strony małżonka wstydliva  
Pilnuje dziątek słodkich oraz domu,  
Sabinka lub też słońcem opalona  
Małżonka wierna zmyślnego Apula:  
Suche na ogień dorzucą polana,  
Pod powrót męża, kiedy wicher hula,  
W okólnik trzodę na odwieczarz spędza  
I bydłu ulży jeszcze przez udoje;  
A chociaż w domu nie panuje nędza  
Na ucztę daje wiktuały swoje.  
I nie są milsze ni ostrygi wcale  
Lub różne płaszczki albo przeżuwacze.  
Kiedy je zimą rozszalałe fale  
Na brzeg wyrzuca. Ani mi kołaczce  
Tłusta perlica do czczego żołądka,  
Ani pantarka gęsto nadziewana;  
Wolę oliwkę, co ją moja grządka  
Wychodowała tuż pod okiem pana.  
Albo szczaw kwaśny, wyrosły na łące  
Lub ślaz zdrowotny na żołądka bole.  
A w Terminalia już jagnię pachnące  
Wyrwane wilkom od frykasów wolę.  
I jakże miło wśród kielichów brzęku  
Widzieć ciągnące z ugorów owieczki,  
Woły swój lemierz ciągnące na smyka,  
Pospieszające do wieczornej sieczki  
Sług domorodnych rój wokół ogniska,  
Kiedy wesolo o mroku zabłyska...

Skoro nam w oczy kładł wiejskie ponęty  
Ten lichwiarz Allius na dziedzica skory,  
Oddał pieniądze na nowe procenty  
I lichwę czyni do dzisiejszej pory.

Wolny przekład z łaciny

Stanisław Zybała

## KĄCIK HARCERSKI.

### A u nas w obozie...

(II Dąbrowskiego).

Już ostatnie promienie słońca purpurową wstęgą lśniły  
na spokojnej tafli jeziora, gdy przybyliśmy na miejsce obo-



zowania...

Jezioro wabiło swym przepięknym widokiem. Wyspa na jeziorze, tajemnicza, ponura, pokryta bujnym drzewostanem, wzniewiała iskry zapалу w duszach „Robinsonów”...

Jednak wpieryw trzeba było pomyśleć o noclegu a namioty leżały jeszcze zwinięte w pokrowcach.

Praca więc zawrzała w całej pełni. W zmroku wieczora poczęły wyrastać w lesie białe namioty, czemu towarzyszył nieustanny stuk wbijanych w ziemię „sledzi;” — z wielkim hałasem przywieziono ze wsi sienniki wypchane słomą, które poukładaliśmy obok siebie w ustawionych już namiotach. Przy świetle potężnego reflektora (od starego „Fordy”) dha opiekuna, dokończyliśmy niezbędne urządzenie noclegowe.

W stuletnim lesie sosnowym, nad jeziorem Mierzyńskim zawrzało życie harcerskie. Poczawszy od rannej pobudki, aż do ostatniego sygnału trąbki wieczornej, obóz napelniony był nieustannym gwarem i pracą.

Punktem kulminacyjnym obozu był dzień 11 lipca, dzień uroczystości złotych, w związku z dwudziestopięcioleciem „Chorągwi Poznańskiej”. Na wielkim! stadionie międzychodzkiem zebrały się delegacje drużyn z pocztami sztandarowymi, gdzie wysłuchano wspólnie mszy polowej. Po mszy św. nastąpiły przemówienia władz tak harcerskich jak wojskowych i świeckich, po czym odbyła się defilada na rynku.

W godzinach popołudniowych odbyły się nad Wartą pokazy zorganizowane przez poszczególne hufce. Najwięcej zainteresowania wzbudziły pokazy drużyn żeglarskich na Warcie.

Wieczorem odbyło się tradycyjne ognisko w nastroju zupełnie poważnym, podczas którego zabrali głos w gawędzie dh. Komendant Chor. Pozn.: A Balcerek, oraz Kapelan Chor. Ks. Skaziński, przemawiając nietylko do licznie zgromadzonych rzesz harcerskich, lecz także do publiczności, która w liczbie ok. 5000 przybyła z Międzychodzu, odległego 5 km.

Bardzo efektowne były momenty, kiedy przybywały sztafety kolarskie z zapalonymi pochodniami. Po wrzuceniu pochodni do ogniska następowało wręczenie dhowi Komendantowi telegramu wysłanego przez poszczególne hufce, obozujące na terenach międzychodzkiem.

Pełni świeżo odniesionych wrażeń wracaliśmy z ogniska późną nocą, kierując się do obozu najbliższymi ścieżkami leśnymi. Publiczność gromadą „familijną” podążyla brzegiem Warty do miasta.

Położenie obozu było świetne. Ukryci wśród wiekowych olbrzymów, nie odczuwaliśmy ani gwałtownych wichrów, ani

burz. Tylko szum leniwie poruszających się konarów wskazywał, że atmosfera jest „niespokojna”.

Jeziro, przylegająca tuż do lasu, było terenem częstych przejażdzek na kajakach. Wobec możliwości rybołówstwa znaleźli się w obozie gorliwi „rybacy”, którzy łowili oczywiście na „gapę”. Biedacy próbowali wszelkich sposobów połowu, ale prędko z głodu poumierali, gdyby mieli żyć z rybołówstwem. Ani jednej żaby nie ułowili a ryby jak gdyby na przekór masami dopływały do brzegu, wygrzewały się na mierzynie i drwiły z „ostrowskich rybaków”.

Więcej zapewne przyjemności sprawiała kąpiel, podczas której ryby ustępowały miejsca „rybakom” na mierzynie (bo na głęboką wodę komenda nie pozwoliła wypływać, zapewne z obawy, aby ryby którego nie złowiły).

Momentów o charakterze przyjemnym było wiele. Ważniejszym jednak zadaniem była praca społeczna.

Tereny Międzychodu, dochodzące do granicy, to obszary w wielkim procencie zamieszkałe przez Niemców. Dzieci polskie bawiąc się z niemieckimi, przyswajają sobie ich język i często zatracają charakter polskości. Starsi trwają jeszcze w przekonaniach, zresztą zupełnie bezpodstawnych, że „nie było jak za Niemca”.

Z faktem, tym trzeba stwierdzić, że dość często się spotyka u ludzi starszych. Trudno „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Dzieci i młodzież trzeba zabezpieczyć od wpływów zupełnie niepożądanych.

Zastępy wyruszały na wycieczki do nadgranicznych wiosek, gdzie spędzały czas na zabawie z dziećmi polskimi. Często zdarzało się, że polskie dziecko bardzo mało znało język polski, albo kaleczyło język ojczysty obcymi naleciałościami

Dzień za dniem szybko przemija. Praca ujęta w ramy programowe, wypełniała każdy dzień, każdą godzinę.

Harce codzienne na łonie przyrody, kazały zapomnieć o szarzyźnie i monotonności życia miejskiego. Z wesołymi minami przeszliśmy przez wszystkie objawy życia obozowego, które trwałymi literami zostały napisane w naszych wspomnieniach.

„M. EDEK”.

# 7 i 8 Grudnia

będzie coś bardziej niezwykłego  
niż

zaćmienie słońca

bo mianowicie TTZ. wystawia

---

---

---

## NIESPODZIANKĘ

---

---

---

K. H. ROSTWOROWSKIEGO

---

**Początek o godz. 16-tej**  
w sali K. P. W. (przy dworcu)

**Wstęp 25 gr.**

